

LAURA MARKOWSKA



MATKA LUDU

Wkrótce ukaże się
część II.
Kinga-Ksieni sądecka
i
część III-cia
Cuda i legendy o Błog. Kindze

MATKA LUDU

LAURA MARKOWSKA

~~INWENTARZ~~

L. 7636

Dział 8

L. p. 3743

M A T K A L U D U

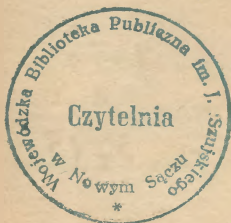
(Bł. Kinga)

Opowieść biograficzna z XIII w.



Nakładem Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet

T A R N Ó W 1938



REGION



7548

115492

NIHIL OBSTAT

Nrus 2131.

Tarnoviae, die 9 Aprilis 1938.

884-3

Dr Ignatius Dziedziak
censor

IMPRIMATUR

Tarnoviae, die 9 Aprilis 1938.

† *EDUARDUS Eppus*

Akc. 105 1938 Cr.

Jego Ekscelencji Najdostojniejszemu

Księdzu

Dr FRANCISZKOWI LISOWSKIEMU

Biskupowi Tarnowskiemu

gorącemu Czcicielowi błogostawionej Kingi

*skromną tą pracę
z najgłębszą czcią składa*

A u t o r k a

Z pomroki dziejów ponurego średnio-wieczna, wyłania się ku nam, jak tęcza z obłoków, świetlana postać królowny węgierskiej, Kingi. Imię to znane nam dobrze, choć dzieli je olbrzymia odległość wieków i srogie burze życia, obok dni blasku i chwały.

Nieraz już mówiono o niej. Szeroko rozślawił jej czyny w swych nieśmiertelnych dziełach kronikarz polski, ks. Jan Długosz, kanonik krakowski i wielu, wielu innych historyków i poetów głosiło jej świętość i uwielbienie.

Przypominamy sobie te czasy, w których żyła i tym więcej zaciekawia nas ta dziwna, ascetyczna postać, wyrosła na tle krwawych wojen, zepsucia obyczajów, zaniku ludzkiej godności, pożogi i spustoszenia.

Mało który z rodów królewskich poszczycić się może na owe czasy tak znaczną liczbą świętych i błogosławionych, jak

właśnie ród węgierski Arpadów, z którego pochodzi błog. Kinga.

Jeszcze w X. wieku przybyli Arpadowie ze wschodu i zajęli uroczą, obszerną dolinę Cisy i Dunaju. Dynastia ta wcześniej porzuciła pogańskie pojęcia religijne i zwyczaje. Potomek Arpadów, książę Gejza, poślubiwszy Adelajdę, siostrę księcia polskiego Mieczysława, za jej przyczyną przyjął wiarę Chrystusową i stał się gorliwym apostołem Węgier. W ten sposób zadzierzgnięty został pierwszy węzeł pokrewieństwa między Polską a Węgrami, rozdzielony pozornie potężnym łańcuchem gór karpackich, zwanych wówczas „sarmackimi Alpami“.

W prześlicznym ustroniu, nad samym brzegiem błękitnego Dunaju, rozłożyła się stolica ówczesnych Węgier, Ostrzychom, na potężnej górze zamkowej, będąca równocześnie graniczną twierdzą obronną.

Tutaj urodził się i wychował, wreszcie koronowany został na pierwszego króla Węgier, święty Stefan, — syn Adelajdy i Gejzy.

Po nim cały szereg bohaterskich i bogobojnych postaci, których obok wielkich cnót rycerskich opromieniał blask aureoli

świętości. Z pośród nich szczególnie odznaczili się: św. Emeryk, jaśniejący anielską czystością, Władysław święty, król węgierski, który w Polsce się wychował, polskie też imię szeroko po świecie rycerskimi dziełami i różnymi cudami rozślawił. Zofia, córka Beli II., poślubiona cesarzowi Henrykowi, która wyrzekłszy się światowego życia, berło i koronę na suknię mniuszą zamieniła. I Andrzej dzielny, wsławiony krucjatą do Ziemi św. i małżonka jego bogobojna Gertruda, rodzona siostra św. Jadwigi śląskiej.

Gęsta sieć pokrewieństwa i powinowactwa przez długie jeszcze lata łączy dwa sąsiadujące z sobą rody: Piastów i Arpadów. Oto syn Gertrudy, Koloman, pojął w małżeństwo Salomeę, córkę Leszka Białego, księcia krakowskiego i Grzysławę, księżniczkę ruskiej.

Nieskończoną byłaby lista imion tego zacnego i świątobliwego rodu. Prawie każde z nich otacza jakaś złota legenda, pełna cudowności i bohaterskich czynów. Z pokolenia w pokolenie przechodzą nieśmiertelne o nich opowieści, rosną, tężeją i stają się dla pokoleń niezatartym, płomiennym drogowskazem...

I.

Świt podnosił się blady i chłodny. Słabym światłem czepiał się wierzchołków drzew, wieżyczek i baszt, ześlizgiwał się po murach i tonął w głębokiej wnęce okna ostrzychomskiej kaplicy zamkowej. Zwisająca ze stropu ciężka, bronzowa misa, w której ledwo migotał płomyk, rzucała niepewny blask na posadzkę, wyłożoną marmurowymi płytami i na piękne arkadowe fryzy, dźwigające boczne empory.

W pośrodku prezbiterium wznosił się niski ołtarz, z płaskorzeźbą ze złota, przedstawiającą kilka scen z życia Pana Jezusa i świętych. Długa, wąska galeria łączyła pałac królewski z kaplicą.

Nagle dostojną ciszę przerwał dźwięczny głos wieżowej sygnaturki. Coraz donośniej, coraz dźwięczniej płynęły srebrne jej tony w dal, na ciemne lasy i wzgórze. Kaskadą różnobarwnych tonów spadały w doliny, budząc okolicznych miesz-

kańców, to znów podnosiły się w górę, przedzierając się przez różowe obłoki aż hen, pod niebiosy...

Ruch w zamku panował niebywały. Tłum dworzan, panów i rycerzy napełniał zwolna wnętrze kaplicy. Obok, w sali tronowej gromadzili się najwyżsi dostojnicy kościelni wraz z królem węgierskim Belą IV, prawnukiem Władysława świętego. W tym dniu oblicze króla jaśniało niezwykłym szczęściem i blaskiem. Ziściła się bowiem przepowiednia, dana królowej Marii, gdy w trwodze o los swój i dziecięcia, piastowanego w łonie, z błagalną modlitwą zwróciła się do Bogarodzicy. Pocięgę wówczas odebrała z nieba i tą nowinę radosną, że córka, którą na świat wyda, szczególnymi zasłynie cudami i z łaski Zbawiciela stanie się Niebios wybranką.

Jakiś potężny głos nadziemski szeptał królowi w duszy, że dziecię to przysporzy niebywalej chwały węgierskiemu tronowi, że będzie tęczowym mostem, rzuconym nad „sarmackimi górami“ i połączy silniej niż dotąd, dwa sąsiadujące z sobą narody.

Na dany znak wszedł król Bela w orszaku licznych dworzan i rycerstwa do

kaplicy i zajął miejsce w prezbiterium. Za nim kroczył poważnie tłum dostojników kościelnych z biskupem na czele i orszak dziewic odświętnie ubranych, niosących prześliczną, całą ze złota i kości słoniowej kolebkę.

Szmer podziwu powiał wśród obecnych.

Z błękitnych atlasów i misternych koronek wyglądała jasna główka dziecięcia. Wesoła twarzyczka uśmiechała się tak cudnie i wdzięcznie, że wszystkim się zdawało, iż nagle jakiś promień niebieski przedarł mroczne opony kaplicy i rozświecił najgłębsze jej zakątki.

Nawet wizerunki świętych, zdobiące ściany, jak gdyby zwracały swe oblicza w stronę maleńkiej dzieciny.

Przed rozpoczęciem nabożeństwa dokonał biskup w asyście licznego duchowieństwa obrzędu chrztu św. Dziecku nadano imię Kinga, z łacińska Cunegunda. Podczas mszy św., stosownie do zwyczaju, panującego na dworze Beli IV., jako pierwsze pożywienie podano maleńkiej dziecinie Pokarm Niebieski, w postaci najśw. Eucharystii.

A kiedy drobne usteczka dotknęły świętej Tajemnicy, potop światła dzien-

nego zalał kaplicę. Jakaś dziwna, wiośni-
na woń spłynęła skądś, niby z dalekich pól.

Cały świat stał się jasnością.

Niewysłowionym szczęściem powiało
w dal...

Wtedy małeńkie wargi poruszyły się
kilkakrotnie, jakby w modlitwie. Usły-
szano zda się słowa, które wierni szep-
tem jęli powtarzać.

„Witaj Królowo Niebieska, Matko aniel-
skiego Króla!”

Uroczysta chwila zmieniała się wnet
w czarowną, złotą legendę o wiecznym,
nieprzemijającym szczęściu. Nawet pło-
mienie świec na ołtarzu żarzyły się jaśniej
i drgały bezustanną modlitwą...

Wspaniałą procesję zakończono uro-
czysty obrzęd.

A gdy słońce złotym blaskiem ogarnęło
już cały świat, znużone dziecię zmrużyło
oczy i rozpoczęło swój pierwszy, królew-
ski sen...

II.

W pełnej krasie wiośnianej płynęły dni i lata świątobliwej dziewczeczki. Któż zdoła wyrazić radość królowej matki, gdy dziecina pierwszych słów wymawiać się uczyła, a tymi były wyrazy: Jezus i Maria.

W pogodnej, uroczej jej twarzyczce było tyle wewnętrznego szczęścia i głębokiego zrozumienia tajemnicy Boskiej, że wszystkich ogarniało zdumienie. Każdego ranka prowadzono ją do małej, bocznej kapliczki zamkowej, gdzie wpatrzona w tabernakulum, z prawdziwym skupieniem uczestniczyła w nabożeństwie. Jakby w przeczuciu ogromnych łask, budziło się w jej duszy niewypowiedziane pragnienie służenia Bogu i świętym.

W tym czasie, w którym na świat przyszła Kinga, przebywała na węgierskim dworze stryjenka jej Salomea, jeszcze w trzecim roku swego życia poślubiona Kolomanowi, książęciu halickiemu, który

był rodzonym bratem Beli IV. Bogobojna pani, córka Piasta, Leszka Białego, staranną i czułą opieką otaczała młodziutką Kingę, kochając ją niemal jak własne dziecko.

Widząc w świątobliwej dziewczeczce niepospolite przymioty i przewidując jej wielką przyszłość, powzięła Salomea plan połączenia węzłem małżeńskim brata swego Bolesława Wstydliwego, księcia krakowskiego i sandomierskiego z młodziutką królewną. Wiedziała księżna Salomea, że ze strony Kingi nie spotka się z żadnym oporem, gdyż dziewczę kochało ją bardzo i było do niej niezwykle przywiązane.

Często przebywając razem, Kinga słyszała z ust stryjenki wiele ciekawych rzeczy o Polsce, od której oddzielał ich potężny wał Karpat:

— Tam, za tymi szczytami, białymi od wiecznego śniegu, w uroczych zakątkach polskiej ziemi —

— wśród szumiących łąnów zielonych niw i pól, mieszka lud prosty, siermiężny, ubogi i pracowity. W ciężkim trudzie i po cie zdobywać musi swój codzienny chleb, lecz wielkie skarby nosi w swej duszy —

— czy to idąc z rannym brzaskiem do pracy, czy wracając wieczorem do chat,

wszystkie swe troski, dole i niedole z pokorą składa u Chrystusowych stóp.

Płynęły opowieści zajmujące:

— o przecudnej, z obcego kraju przybyłej księżniczce Dąbrówce, która pełna poświęcenia dla sprawy Bożej, oddała rękę księciu polskiemu Mieszkowi i światłem Chrystusowej wiary naród polski oświeciła. Przez to stała się naszej ziemi pierwszą apostołką — —

— o walecznym i sprawiedliwym królu Bolku i mieczu jego „Szczerbcem“ zwanym, a przyniesionym od aniołów z nieba — —

— o Stanisławie, biskupie i męczenniku — —

— o pradziadku Krzywoustym, który wojował z Niemcami i pogańskich Pomorzan na wiarę chrześcijańską nawrócił.

I snuły się przed oczyma dziecka uroczne wizje rycerskich zamków, wspaniałe postacie świętych mężów i niewiast.

Każda z tych opowieści zostawiała w duszy Kingi głębokie, niezatarte ślady. Oplątywały ją złote marzenia. Bezwiednie tęskniła do tego kraju, gdzie tyle przebywało biednych i nieszczęśliwych ludzi. Serce jej wtedy napełniała litość tak wielka, że

chciałaby biec do nich zaraz i nieść im pomoc. Wszystkoby im oddała, wszystko —

— i te sukienki błękitne i różowe, podobne rannej jutrzence —

— atłasowe trzewiczki —

— różnobarwne wstążki —

— chusty jedwabne, perły i korale...

Och, jak nie lubiła tych sukien strojnych, kosztownych, które wyróżniały ją od innych dzieci.

Pewnego dnia udała się księżna Salomea do królowej matki i jej zamiary swoje przedłożyła.

Oburzyła się królowa Maria, mówiąc:

— Jakoż miałaś odwagę Salomeo z czymś podobnym przychodzić do mnie? Kinga, choć szósta z moich córek, nie jedyna, to prawda, lecz najmilsze to dziecko. Czyż mogłabym wydać ją z domu?...

— A Bolesław, brat wasz Salomeo, wszak ubogi to książę, niewiadom losu swego. Jakoż mu sięgać po córkę króla Węgier?...

— Zresztą Kinga, dziecko moje, innego ma już oblubieńca. Dawno poślubiona Jezusowi, Jemu czystości duszy swej przyrzekła strzec i bronić, nie odda jej nikomu.

Nie pomogły żadne namowy i zapewnienia Salomei, że i ona przecież, choć poślubiona Kolomanowi, jako z bratem z nim przebywa, ślubów czystości dotąd nie złamała, a da Bóg i do końca życia z dziewiczym swym małżonkiem wierną im pozostać.

III.

Tymczasem w Polsce na dobre rozpętała się burza, której początek sięgał jeszcze czasów Bolesława Krzywoustego. Rozdzieliwszy testamentem swoim państwo między czterech synów, nie przeczuwał dobry i dzielny monarcha, jakie skutki na przyszłe losy narodu wywoła ten podział.

Dziwnym może się wydawać ten wiek XIII., zwłaszcza w Polsce. Ciszę religijnego, ascetycznego nieomal życia wielu książąt przerywa nagle zamęt bratobójczych walk o prymat władzy i tytuł „monarchy“, który był przywiązany zawsze do krakowskiego księcia.

Tego rodzaju stosunki musiały w znacznej mierze przyczynić się do osłabienia jedności narodowej. Upływają całe lata, a nawet przez dwa blisko wieki nic się nie zmienia. Rośnie zawiść w sercach młodego pokolenia piastowych książąt, wy-

dzierają sobie nawzajem władzę, najeżdżają braterskie ziemie, pustoszą i zabijają...

Nienawiść dzielnicowych braci przechodzi z ojca na syna. Coraz częściej dochodzi do krwawych starć i zamieszek, do tego stopnia, że Stolica Apostolska zmuszoną była często wdawać się w te sprawy, łagodzić spory, a nawet grozić klątwą.

W takim to właśnie chaosie zginął śmiercią tragiczną Leszek Biały, książę krakowsko-sandomierski, zabity w r. 1227 w Gąsawie. Została po nim wdowa Grzymisława z córką Salomeą i synem Bolesławem, przewanym później „Wstydlivym“.

Serce matczyne, strwożone o los małoletniego Bolka, zmuszone było uciec się pod opiekę stryja, Konrada mazowieckiego, rodzonego brata Leszka.

Rola opiekuna dogadzała niezwykle Konradowi. Niedługo ukrywał się ze swoimi zamiarami. Będąc chciwym władzy, wkrótce zaczął dążyć do owładnięcia obu księstwami.

W obronie praw małoletniego Bolka stanął wówczas Henryk Brodaty, władca

Śląska. I znów rozpoczęły się niesnaski, które doprowadziły do krwawej wojny między książętami. Oto na zjeździe rycerstwa krakowskiego w Opatowcu podstępny i chytry Konrad napadł ze znacznym poczem dworskim bezbronnego Henryka. Połapała się krew strumieniami. Ciężko ranego Henryka uprowadził Konrad potajemnie do swego zamku w Płocku. Tam wrzucił go do straszliwego więzienia, znęcając się nad swym jeńcem okrutnie.

Nie wiadomo jaki byłby koniec tej niewoli, gdyby nie pośrednictwo Jadwigi, świętobliwej małżonki Henryka. Na wieść o haniebnym czynie Konrada, opuszcza na chwilę mury klasztoru trzebnickiego, ufna w pomoc Bożą, udaje się pełna wiary i odwagi sama do Konrada. Po długich prośbach i błaganiach wyjednała wreszcie wolność swemu małżonkowi.

Minęło kilka lat na pozór spokojnych. Przez ten czas Grzymisława przebywała ze swym synem częścią w zameczku korczyńskim, częścią wiodła życie tułaczę. Przed oczyma jej duszy coraz wyraźniej rysowała się niepewna przyszłość syna Bolka, pozbawionego księstwa. Gdy jednak Bolesław doszedł lat młodzieńczych,

postanowił upomnieć się o swe prawa. Pewnego razu zażądał od stryja Konrada oddania mu ziemi sandomierskiej.

Powtórzyła się scena, jaka niegdyś zaszła między Henrykiem a Konradem. Używając po raz drugi podstępu, książę mazowiecki uwięził Bolesława wraz z matką w zamku sieciechowskim. Los więźniów stawał się z dnia na dzień coraz więcej beznadziejny i okrutny. Łotrowski stryj zagarnął resztki Bolesławowego dziedzictwa, skazując synowca na zagładę.

W sandomierskim księstwie tymczasem zaczęły gromadzić się chmury. Coraz częściej dało się słyszeć niezadowolenie, a nawet słowa buntu przeciwko mazowieckiemu satrapie.

Żądano Leszkowego syna.

Napróżno Konrad usiłował uspokoić rozgoryczonych sandomierzan. Napróżno obiecywał, że spełni ich wolę, gdy synowiec jego dojdzie do pełnoletności. Nikt słowom jego nie dawał wiary. Zanosilo się nawet na wojenną z Konradem rozprawę.

Równocześnie w sieciechowskim zam-

ku przygotowywano się do ucieczki. Korzystając z dłuższej nieobecności Konrada, Grzymisława z synem przy pomocy życzliwego i dzielnego Klemensa z Ruszcy wydobyla się z więzienia.

Bolesław wsparty znaczną liczbą zbrojnego rycerstwa, wjechał w bramy Sandomierza, witany przez wszystkich radośnie. Pokonany Konrad musiał usunąć się, lecz nie zaniechał pogroźek.

W takim położeniu nie było innego wyjścia, jak udać się pod opiekę Stolicy Apostolskiej, co też Grzymisława natychmiast uczyniła. Prócz tego inna jeszcze myśl opanowała najbliższe jej otoczenie.

Oto z namowy księżny Salomei postanowiono wysłać swaty do Węgier i prosić o rękę królowny Kingi dla Bolesława. W małżeństwie tym widziano jedyny dla całego narodu polskiego ratunek i błogosławieństwo. Nadzwyczajne bogactwo rodu Arpadów, ich zacność i świętobliwość kazały przypuszczać, że obok niezrównanego blasku cnót, jakimi jaśniała bogobojna dziewczeczka, także bogate wiano dostanie się z ręką królowny sandomierskiego książęciu.

A kiedy już rzecz całą ułożono, udali się posłowie, nie zwlekając, w dziewosłęby do króla Beli: Klemens z Klimontowa — kasztelan i Janusz — wojewoda krakowski. Wspaniała drużyna rycerska towarzyszyła obu posłom aż do samej Budy, dokąd ostatnimi czasy król Bela przeniósł swoją stolicę.

IV.

Prastarym szlakiem górskim, który przecina Karpaty od południa ku północy i łączył z dawien dawna nasz kraj z Węgrami, podążał ku granicy Polski wspaniały orszak królewski. Przodem drużyny konne, lśniące od kosztownych szat i srebrnych zbroic, jak gdyby pierścieniem otaczały znajdujące się w pośrodku piękne, złożone kolebki. Za nimi ciągnął nieskończony szereg wozów ładownych w bogate skrzynie, pełne klejnotów, szat drogocennych, różnych naczyń i sprzętów.

To królowny Kingi weselne hufce, które na rozkaz Beli miały towarzyszyć młodej narzeczonej aż do samych bram polskiej stolicy.

Jak kraj długi i szeroki, nie widziano jeszcze tak wspaniałego orszaku i tak uroczej dziewczeczki.



Pol.
4048

„Prawdziwy to anioł z nieba“ — padało z ust tłumy, który wyległ na gościńce, chcąc się przypatrzeć nie tyle wspaniałym pocztom, ile raczej nieznaney królownie z poza tatrzańskich gór.

Powoli orszak zniżał się kamienistą, stromą drogą ku obszernej, rozległej dolinie Dunajca i Popradu. Ukazywał się krajobraz malowniczy, choć dziki, poszarpany nagimi skałami, wśród których wiły się z szumem bystre, górskie potoki.

Zniżające się ku zachodowi słońce, jakby umyślnie w tym dniu przywdziało królewską purpurę, by zaścielić nią wszystkie drogi na powitanie tak dostojnej dziewczki.

A ona wdzięcznym, przemiłym uśmiechem, wychylając się z kolebki, pozdrowiała wszystkich, jakby powiedzieć chciała: Matką wam będę, nie królową!

Wtem zamajaczyły z daleka szare mury starosądeckiego grodu, słynnego podówczas z ożywionego handlu i kupiectwa. Niedaleko od bram miasta, po obydwu stronach głównej drogi, rozstawiły się poczty Bolesławowego rycerstwa. Jadąc na spotkanie swej przyszłej oblubienicy —

tu, u bram tego starego grodu, młody książę po raz pierwszy ujrzał ją i przywitał. Opanowało nim głębokie wzruszenie na widok uroczej, a jednak tak skromnej dziewczeczki. Może wydała mu się zjawą senną, może świętością jaką, dość, że z prawdziwą czcią ugiął przed nią kolano, a drżące usta ledwie wymówić zdołały słowa powitania.

Nieśmiało dziewczę wyciągnęło drobną, delikatną dłoń i podało ją Bolesławowi, skłoniwszy lekko główką. Zmęczoną i bladą jej twarzyczkę pokrył na chwilę rumieniec, a serce zakołatało mocno. Dreszcz trwogi przeszył ją skrós, przed nieznaną, tajemniczą przyszłością.

Góry, lasy, potoki, wszystko gdzieś znikło... rozplynęło się przed jej oczyma w mgłę — nie widziała już nic...

Mimo woli podniosła swe cudne, głębokie oczy w górę, jakby stamtąd, z tych przepastnych niebios, czekała jakiegoś znaku, ratunku...

Ale w tej chwili zbudził ją potężny głos tłumy, który ze wszystkich stron cisnąć się począł ku niej, witając ją niby zbawczynię, która swym przyjściem miała

rozpędzić chmury, wiszące nad krajem, pogodzić zwaśnionych książąt i wyjednać u Boga nad nieszczęsnym krajem zmiłowanie.

Zanim jeszcze stopa królowny Kingi dotknęła naszej ziemi, wiedziano już o niezwykłym, świątobliwym jej życiu, o cudach, jakie towarzyszyć miały jej narodzeniu. Mówiono, że samym spojrzeniem łagodnych, anielskich oczu przywraca chorych do zdrowia i życia, a miłosierne jej dłonie nie zaciskają się przed nikim, lecz hojnie darzą biedaków.

I teraz właśnie, gdy zobaczyła wśród tłumu zgłodniałe i wynędzniałe twarzyczki biednych dzieci, przyglądających się jej ciekawie, serce królowny zdjęła boleść i litość tak wielka, że nie bacząc na przepisy dworskiej etykiety, kazała służebnym wydobyć jej podróżne sakwy i pełnymi dłońmi sypała pieniądze między nędzarzy, chorych i kaleki.

Niezapomniany pozostał ten dzień w sercach polskiego ludu. A kiedy naza jutrz do dalszej gotowano się drogi, z prawdziwym i głębokim żalem żegnało ją miasto i ludność okoliczna. Łzy z niejednych popłynęły oczu — z szumem potoków go-

niły ją westchnienia —leciały za nią w ślad
z wichrem tęsknoty...

Z brzaskiem dnia ruszył weselny pochód dalej, na Czchów, Wojnicz i Bochnię do Krakowa. Po drodze musiano zatrzymywać się gdzieniegdzie dla odpoczynku, tym bardziej, że ludność miasteczek i wsi okolicznych pragnęła powitać przyszłą swą panią.

Rojno i gwarno było na wszystkich drogach i ścieżynach polnych, które prowadziły do głównego traktu. Tłumy niewiast, mężów i dzieci już od kilkunastu godzin zalegały przydrożne miejsca i place, czekając, rychło ukaże się książęcy orszak. Tu i tam uwijali się zręczni gońce, przepowiadając zbliżanie się dworu.

W połowie drogi między Krakowem a Sączem ukazały się wspaniałe i liczne poczty wszystkich stanów koronnych, senatorów i duchowieństwa z biskupem Prandotą na czele.

Piękną, wzruszającą mową przywitał biskup przyszłą oblubienicę księcia Bolesława.

A kiedy w przepysznym blasku wiosennego słońca zamigotały z dala wieżyce świątyń krakowskich, równocześnie dał się słyszeć potężny głos dzwonów ze wszystkich kościołów. Radosną melodią kołysało się ich granie, tonąc w jednym wielkim hymnie na cześć bogobojnej królowny.

U samych bram miasta przywitały Kingę uroczyste procesje. Zaszumiały różnobarwne chorągwie i zajaśniał na czele pochodu złocisty, wspaniały krzyż.

Tak wprowadzono węgierską królowną do krakowskiego zamku, gdzie miała jakiś czas przebywać pod opieką swej przyszłej świekry Grzymisławy. W tym czasie miała Kinga wyuczyć się mowy polskiej i polskich obyczajów dworskich.

Od pierwszej chwili swojego na dwór Bolesławowy przybycia, budziła królowna u wszystkich podziw i zachwyt, już to umiejętnością zachowania pełnej powagi królewskiego majestatu, już też nadzwyczajną skromnością i pobożnością.

Panował wtenczas zwyczaj na książęcych dworach urządzania dość często igrzysk, płaśów i różnego rodzaju zabaw. Bolko, pragnąc uprzyjemnić chwile swej

przyszłej oblubienicy, zapraszał ją niekiedy na festyny i turnieje, w których sam brał udział, popisując się niezwykłą zręcznością w oczach swej narzeczonej.

W towarzystwie Grzymisławy i stryjenki Salomei, Kinga przypatrywała się niekiedy turniejom i różnym zabawom, jakże jednak sercem i duszą daleka od tego rodzaju rozrywek. Najchętniej wypraszała się od tych widowisk, które człowieka oddalają od Boga, a nawet nieraz są świadectwem grzechu i ziemskiej próżności.

Grzymisława przebywała z nią często i za każdym razem odkrywała w niej coraz więcej doskonałych przymiotów. To też dziękowała z całego serca Bogu, że zesłał jej tego prawdziwego anioła dla jedynego syna, jakby w nagrodę za wszystkie trudy i nieszczęścia, jakich doznawał od ludzi i życia.

Oznaczono dzień odbyło się wesele, z wielkim jak na owe zwyczaje przepychem i wystawą. Ze wszystkich dzielnic zjechali książęta, jeden tylko Konrad mazowiecki prawie nie brał udziału w tej uroczystości. Zjawiwszy się na krótko, chmurny i gniewny, wnet oddalił się do

swego zamku i zniknął na dłuższy czas z widowni.

Przez dwa tygodnie trwały płasy, gonitwy, turnieje i różne uciechy. Księżna Kinga wymawiała się jak mogła od udziału w tych zabawach, na co też powolny jej małżonek zgadzał się, szanując we wszystkim jej wolę:

Nowa era rozpoczynała się w jej życiu.

Zrozumiawszy należycie znaczenie swego posłannictwa dla narodu, postanowiła dzierżyć mocno nad swym ludem straż i jak troskliwa matka otoczyć go prawdziwą opieką.

A więc najpierw pogodzić zwaśnionych książąt, by ustał nareszcie rozlew braterskiej krwi, natchnąć i przeniknąć dotychczasowe zwyczaje dworskie uczuciem religijnym i życie codzienne nagiąć do czynów wielkich, świętych.

Gdy już przebrzmiały echa weselnych biesiad i zabaw, wyprosiła sobie Kinga u swego oblubieńca, aby jej pozwolił udać się w ulubione zacisze zamku korczyńskiego, pod opiekę Grzymisławy.

To gorące pragnienie objawiła upodobaniem do miejsc samotnych, zdala

od zgiełku stołecznego miasta. Nie tała wcale, że główną treścią jej życia było dotąd i będzie dążenie do doskonałości, do podobania się Boskiemu Mistrzowi, któremu poprzysięgła służyć w cnocie czystości aż do śmierci.

Korna i cicha, prosiła Bolesława, aby wyrzekłszy się własnej woli, razem z nią żył po bratersku, idąc przez życie nie ziemskie, lecz święte i „miast zdziercą, pozostał stróżem jej czystości“.¹⁾

Opodal korczyńskiego zamku znajdował się stary kościół pod wezwaniem św. Mikołaja. Tam często biegła Kinga szukać pociechy u stóp wizerunku Ukrzyżowanego. W nocie ciemne i chmurne wymykała się niepostrzeżenie z zamku w towarzystwie wiernego, starego ochmistrza i jednej tylko służebny.

Czując odrazę i wzdargę do światowych strojów zbytkownych, ostrą włósienicę pod szaty swe wierzchnie przywdziewa i boso, podczas srogich, zimnych zawiei, raniąc swe stopy po śniegu i lodzie, do kościoła pospiesza.

Tu w rozmyślaniach i modlitwie długie nieraz przepędza godziny.

¹⁾ Frankowicz

Zapatrzona w głąb swej duszy, widzi w niej, jak w zwierciadle, postać umiłowanego Zbawiciela.

Pragnie więc pójść w Jego ślady.

Wszystko, co nie jest czyste i święte, usunęła ze swej drogi.

Chrystusową tylko pragnie być oblubienicą...

V.

Głuche wieści dochodziły ze wschodnich rubieży Polski, że hen, daleko, z głębi Azji, ruszyły jakieś wojownicze szczepy mongolskie na zachód, ku Europie i pokonawszy lud, zamieszkujący porzecza Wołgi, góry Kaukazu, brzegi morza Czarnego, oparł się tuż prawie u granic Polski.

Wobec ciągłych niepokojów wewnątrz kraju i walk o tron, nie zwracano zbyt wiele uwagi na bliskie niebezpieczeństwo. Leczważono je nawet, bowiem rycerstwo, ufne w swoje męstwo i zapatrzone na wzory zachodnie, było pewne przewagi nad każdym nieprzyjacielem.

Nieszczęście jednak zbliżało się szybko i już przy końcu zimy 1241 roku rozeszły się straszliwe echa, że nieprzeliczone zastępy wojowników trzema potężnymi ramionami, jak trzy wezbrane, ogromne rzeki, pod wodzą Wielkiego Temudżyna, straszliwego Dżengis-Chana — ruszyły na podboje Europy.

Były to hordy Mongołów, zwanych u nas później Tatarami, którzy rozdzieliwszy się na kilka „zagonów“, jednym skierowali się na dolinę węgierską, pozostałe inne, pod wodzą dzielnego Batu-Chana, kierując się biegiem rzek i traktem handlowym, miały przejść przez Polskę w głąb Europy.

Wczesny zmierzch otulał wieżycę i mury wawelskiego grodu. W dolnej komnacie zamkowej, oświetlonej kilku pochodniami, zaczęli zbierać się powołani przez księcia Bolka rycerze.

W pobliżu komina, na którym buzował się suty ogień, zasiadł na ławie poważny i sędziwy Zbylut z Goraja. Zatroškany wzrok utkwiał w ogniu, targając od czasu do czasu swe siwe wąsy.

Obok niego w żywej, choć cichej rozmowie przysiadł Jaszko z Tęczyna i Leszek z Mogiły.

— Jakoże mówicie, miły panie, wždy prawdą to jest, co bają o onych pohańcach?

— Tako jest. Srogi to naród, w skórę odziany, o jednym oku na środku czoła, a ponoć srogie i plugawe dymy z gęby

puszcza i razi naszych tym cuchnącym dechem, że rzadko który pola mu dotrzyma...

— Nie bajalibyście byle co — poderwał się żywo Zbylut z Goraja, oblawszy się z oburzenia purpurą. Niegodna to rzecz — prawil — rycerzowi powtarzać gadek babinca. Ponoć ludzie to, jako i my, tylko bitne a chytre, zgoła nie znające honoru rycerskiego.

Otwarły się drzwi komnaty i wszedł sędziwy i dostojny arcypasterz, biskup Prandota.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pokój temu domowi! Witajcie!

Z czią pochyliły się głowy rycerzy.

— Czy wszyscyśmy? — pytał arcypasterz — Bolka-księcia nie widzę.

— Książę i pan nasz w pobocznej komnacie, czeka na świeże wieści — odparł Jaszko.

— Czy wasza świętobliwość nie słychaliście czego nowego?

— Źle słyszałem. Kara niebios za nasze występki i upodlenie spada na nas i dzieci nasze. Niema zgody i jedności w narodzie. Poganin pali kościoły, bezczęści je i morduje sługi Jego. Ciężką ręką dotyka nas Bóg, oby tylko rychło nastąpiło opamię-

tanie i Bóg swój wraży miecz od nas odwrócił.

Noc otuliła całą ziemię, a wiatr przószył śniegiem w okrągłe szybki, sprawne w ołów.

Otwarły się drzwi bocznej komnaty i dworzanin książęcy zawołał: „Książę pan miłościwy nadchodzi!”

Podnieśli się z uszanowaniem wszyscy z ław, gdy do komnaty wszedł Bolko z towarzyszem. Na twarzy jego przybladłej malował się smutek i troska. Przywitawszy wpierw biskupa, zwrócił się do reszty obecnych i rzekł:

— Usiądźcie, proszę! Wezwałem was tu do siebie, abyście mi światłą radą służyli. Przypadło mi w udziale być pierwszym w narodzie, przeto muszę wziąć w swe dłonie ster... Za wielki to ciężar na moje młode barki, za duża odpowiedzialność na mój rozum.

— Radźcie bracia! Towarzysz mój, ten oto Lędźmierz z Niesławic, który bieży wprost z pola walki, z pod Sandomierza, powiada, jako to ponieśliśmy sromotną klęskę. Piękny nasz stary gród w perzynie, kościoły zrabowane, spalone. Opat z Pokrzywnicy i wszyscy mnisi cysterskiego

zakonu wyróżnieni. Kwiat rycerstwa sromotnie pobity, a niewiasty shańbione...

— Nie darowano nawet dzieciom. Wiara i posłuchanie dajcie temu tu obecnemu Ludźmierzowi, który stamtąd przybieżał, aby nam o tym donieść. Radźcie bracia, co czynić!

— Srogo nas gnębi ręka Boska, wielkie są winy nasze. Wiara w narodzie upadła, brat na brata powstaje, obyczaje się zepsowały. Rozkażę we wszystkich podległych mi kościołach suplikacje i modły do Boga Wszechmocnego, by odwrócił od nas pohańbienie i karę — zakończył arcycpasterz Prandota.

Powstawszy z ławy, Zbylut z Goraja tak rzekł:

— Siła złego na jednego. Ich ćma, nas mało. Strach padł na naród, nie mamy potrzebnych sił i oręża, lecz dufam, że gdybyście wy, miłośnicy panie, nas powiedli, nie umykalibyśmy przed pohańcem.

Na te słowa porwali się inni, wołając:

— Nie nam, garstce, mierzyć się z przewagą wroga. Bieżajmy na Śląsko, gdzie, jako słyszałem, książę pan Pobożny zbiera drużyny rycerskie, aby zagrozić drogę nieprzyjacielowi.

— Prawdę mówicie — rzekł książę Bolko — bo i do mnie przysłał gońce miłościwy, abym zbierał hufce i do niego postąpił. Ale jakoże mi to uczynić, kiedy skarbiec mój pusty i na zaopatrzenie drużyny groszy mi braknie.

W tej chwili uchyliły się cicho podwoje bocznej komnaty i we drzwiach ukazała się postać małżonki Bolesława.

Migotliwy blask pochodni padł na piękną i miłą twarz młodej niewiasty, odzianej skromnie i poważnie. W oczach jej gorzał ogień silnej wiary i niezłomności, przy niezmiernej ust słodczy.

— Darujcie panie, mój miły małżonku, że jako białogłowa wchodzę do przybytku, gdzie tak poważni radzą mężowie. Mimo woli wysłuchałam waszych słów i jeżeli jako niewiasta rzec coś mogę, to zaklinam was na Boga, nie opuszczajcie rąk! Stawcie mężnie czoło nieprzyjacielowi! Nie godzi się wam miłościwy panie opuszczać grodu i ludu tego, któremu jesteście panem i ojcem...

— Jeżeli pieniędzy na potrzeby wojny nie macie, bierzcie z moich skarbów, które wam jako wiano wniosłam. Nie godzi się tchórzostwem ściągać hańby na głowy

wasze, jeno walczyć do ostatka, choćby przyszło wszystkim nam zginąć! Jeśli Bóg tak chce, niech się stanie święta Jego wola!

— Wielkie są słowa wasze, miłościwa pani — odparł czcigodny arcypasterz Prandota.

— Wierzę, że tak się stanie, jako Bóg chce. Widzę, że umiłowaliście nie tylko czcigodnego waszego małżonka, ale i lud cały, który mu podlega. Jako matka tego ludu, oddajecie mu wszystko, co posiadacie, aby mu zapewnić wiarę, honor i wolność.

— Oby Bóg Wszechmogący pobłogosławił wasze poczynania!...

W tej chwili porwali się wszyscy z ław i przypadli do rąk księżny Kingi, dziękując za słowa wiary i otuchy.

Zasromiała się wielce księżna objawami tak wielkiej czci i ucałowawszy rękę arcypasterza, oddaliła się cichutko do swoich komnat.

Natychmiast Bolko zaczął wydawać polecenia, odnoszące się do najbliższej wyprawy wojennej.

VI.

Nowo zebrane hufce, dobrze opatrzone, pełne fantazji i wiary w zwycięstwo, pod wodzą Bolka i podległych mu kasztelanów, stanęły na polach Chmielnika.

Był to jak gdyby ostatni etap walki i obrony. W razie klęski Kraków stał dla wroga otworem.

Zaledwie zdołano uporządkować jako tako szyki bojowe, gdy jak burza gradowa nadciągnęły nieprzeliczone hordy tatarskie pod wodzą samego Batu-Chana.

Na polskie zastępy posypały się roje strzał pierzastych, tak licznie, że blask słońca przyćmiły.

Prawie cały dzień trwały śmiertelne zapasy z przeważającymi siłami wroga. Podczas gdy polskie szeregi jak ścięte kłosa zaczynały się przerzedzać, kipczackim hordom przybywały coraz liczniejsze zastępy.

Szeroko rozlała się krew i gęsty trup zaścielił pola...

Ponury zmierzch zstępował na pobożowisko.

Bitwa, która rychło się rozpoczęła, zamieniła się wkrótce w bezładną ucieczkę. Ostatki niedobitków, pod osłoną nocy, opuszczają pole walki...

Po sromotnej klęsce Bolesław czym prędzej podążył do Krakowa, aby wydać potrzebne zarządzenia.

Widząc, że gród z braku odpowiednich środków obrony nie zdoła powstrzymać naporu nieprzyjaciela, polecił Bolko mieszkańcom grodu opuścić Kraków wraz z wszelkim dobytkiem i uchodzić w bezpieczne miejsca.

Jedynie w klasztorze św. Andrzeja, jako tako obronnym, schroniła się garstka mieszczan i ludu, postanawiając bronić się do upadłego. Pozostałe resztki rycerstwa skierował Bolko na Śląsk, pod rozkazy Henryka Pobożnego, który właśnie gromadził zbrojne hufce przeciw Batu-Chanowi.

Ulegając namowom przedniejszych panów i duchowieństwa, Bolesław zabrawszy

z sobą matkę i żonę, z nielicznym orszakiem uszedł w stronę Węgier.

Wkrótce Tatarzy opanowali Kraków.

Widok opustoszałego miasta zawiódł srodze ich oczekiwania. Rozbestwiona dzicz, nie mogąc nasycić swej żądzы spożdiewanymi łupami, w perzynę obróciła stołeczny gród, niszcząc i paląc świątynie i domy.

Tymczasem dla Bolesława i jego rodziny rozpoczęły się ciężkie i przykre chwile tułaczki:

„Z kraju do kraju gnała Bolesława burza mongolska. Zdało się, jakby rozpasane pogaństwo ciągnęło z zamiaru w ślady uciekającej przed nim świątobliwej rodziny książęcej.

Ledwie Bolesław z matką i żoną zwrócił się do Krakowa, już orda za nimi całą krakowską zalała ziemię.

Ledwie Bolesław przez góry zbiegł do Węgier, już Tatarzy w trop za nim, poprzez Tatry nad Dunaj wpadli. Zagrożony od nich w ziemi węgierskiej, schrania się Bolesław ku Zachodowi, do Moraw, w mury jakiegoś klasztoru cysterskiego, najprawdopodobniej opactwa w staromoraw-

skiej stolicy Welehradzie, lecz tam zalewa mu drogę inny nawał Tatarów, dążący od północy, z Śląska ku Węgrom.

Zbacza więc tułacz książęcy z rodziną nazad do Polski, opróżnionej od Tatarów i w zamku nad Dunajcem, pod Sączem, oczekiwa końca niedoli“. ¹⁾)

¹⁾ Szajnocha.

VII.

Okropnie przedstawiał się obraz kraju po przejściu Tatarów. Jak gdyby jakaś straszliwa burza z huraganowym wichrem przeleciała nad ludzkimi osiedlami, niszcząc i równając je z ziemią.

Tam, gdzie niegdyś w słońcu złociły się i szumiały zboża, porosło chwastem i dzikim zielskiem. Miasta i wsie popalone, z wielu siół nie zostało nawet śladu. Kraj cały wyludniony.

Nie wszyscy jeszcze porzucili dotychczasowe swoje schroniska. Znaczna część ludności w przerażeniu kryła się jeszcze po lasach, bagnach i uroczysskach. Ci, którzy byli śmielsi, wyszli wcześniej z dotychczasowych kryjówek i snuli się jak cienie po pogorzelskach, wynędziali z rozpacz i głodu...

Z załamanymi rękoma stali jak straszne widma na miejscach dawnych swoich

siedzib, szukając wśród rozrzuconych zgłiszcz, szczątków chat i sprzętów. Nic nie pozostało, prócz zwęglonych bierwion, rozrzuconych popiołów i walających się tu i ówdzie szkieletów zwierzęcych.

Którędy tylko przeszła noga Tatarzy, tam przez długie lata naga ziemia nie porosła nawet trawą.

Ciężkie zadanie przypadło w udziale księciu Bolesławowi u progu tak zrujnowanego kraju.

Zniszczony gród stołeczny wołał o odbudowę i obwarowanie na wypadek przyszłych wojen. Należałoby też dopomóc towarzyszom broni i wypłacić żołd zaciężnym rycerzom. Lecz jak tu sięgnąć do skarbcza, który świecił pustkami...

I oto znów otwierają się błogosławionej Kingi szczodroblive dłonie. Ostatnie z pogoni tatarskiej uratowane skrzynie, pełne jeszcze klejnotów i złota...

Serce jej ściska ból i żal wielki na widok spalonych świątyń, głodu matek i dzieci.

Nie może patrzeć na straszne spustoszenie kraju.

Pobiegnie Kinga rychło na Węgry, do umiłowanego rodzica i jemu przedstawi

niedolę swego ludu. Tymczasem ratować trzeba tych, co giną.

Z majestatu swego tronu schodzi między lud, nawiedza chorych, pociesza strapiionych. Sypią się mnogie grosze na odnowienie świątyń Bożych i klasztorów. Wyrastają w oka mgnieniu szpitale, kaplice, przytułki dla kalek. Po całych dniach w towarzystwie wiernych dworek przebiega księżna Kinga zaułki i domy nędzarzy, odwiedza miasta i sioła, dopytując się o chorych i biednych, którym niesie ratunek.

Nie ma rany, którejby nie opatrywały jej anielskie, dobrotliwe dłonie, nie ma chaty, gdzieby nie pozostawiła grosze. Niejedną łzę z oczu matczynych otarła, nie jednemu zdrowie i życie powróciła.

Wśród wielkich nadziei zaczynało kształtować się nowe życie.

Pomocną i ofiarną ręką księżny Kingi cały kraj wkrótce dźwignął się z upadku nie tylko materialnego, ale i moralnego.

VIII.

Gdy tylko przewaliła się nawała mongolska przez Węgry i ludność ocknęła się z koszmarne go snu, a w Polsce dobrotliwą dłonią księżny Kingi zostały otarte nędzaczom pierwsze łzy, postanowiła świątobliwa pani udać się bezzwłocznie do Węgier.

I tu jej oczom przedstawił się również ogrom kłęski, najazdem tatarskim spowodowany, lecz Węgry, kraj zasobny w kopalnie srebra, złota i innych drogocennych kruszców, wcześniej mogły otrząść się z niedostatku i zniszczenia.

Z jakąż tedy radością księżna Kinga witała swe rodzinne strony i drogich rodziców, których tak dawno nie oglądała.

O, najmiłszy i najjaśniejszy to był dla niej dzień w życiu, gdy padłszy w ramiona rodziców, na ich piersiach gorące wylewała łzy. Łzy radości i szczęścia, że zastaje ich w zdrowiu i przy życiu.

W poufnych rozmowach opowiadała Kinga swym rodzicom wszystko, jak dobrym i bogobojnym jest jej mążzonek, jak ją czci i szanuje i uległym jest jej woli. Jak srodze ucierpiał z powodu wojny kraj i lud, któremu jest panią i matką.

Pewnego dnia król Bela, pragnąc dać umiłowanej córce możność zapomnienia przebytych trosk i cierpień, postanowił odbyć z nią kilka wycieczek po kraju. Przy tym chciał dobry i bogobojny monarcha zapoznać się z potrzebami swego ludu.

W czasie jednej przejażdżki zatrzymał się królewski orszak w kopalni soli w Marmarosz. Przypatrując się ciekawie pracy żupników, przypomniała sobie księżna, że właśnie Polska nie posiada takich skarbów, bowiem sól, którą wygotowywano ze źródeł słonych, była drogą, a przez to dla wielu niedostępną. Brak soli kopalnej dawał się dotkliwie odczuwać ludowi polskiemu.

Nieśmiało, półzartem, zwróciła się przeto do ojca:

— Panie, a ojciec mój miłościwy! Wy tu na Węgrzech macie soli pod dostatkiem, a lud mój, któremu jestem królową, nie

posiada jej wcale. Ulitujcie się przeto ludowi memu, darujcie mi ojciec jedną taką kopalnię, a uszczęśliwię przybraną ojczyznę.

Dobrotliwym uśmiechem rozjaśniła się twarz starego króla, a wzięwszy córkę w ramiona i ucałowawszy w czoło, rzekł:

— Dziecię moje najmilsze, jeżeli tylko tyle brakuje do szczęścia twojemu ludowi, bierz tę kopalnię! Twoją ona własnością od dzisiaj. Chcę, abyś patrząc na szczęście swoich poddanych, sama czuła się szczęśliwą!

Ze łzami w oczach rzuciła się księżna Kinga do nóg ojcu, dziękując za wspaniałomyślny dar.

Następnie podeszła w towarzystwie ojca do otwartego szybu, a zdjęwszy z palca szczerozłoty pierścień, wrzuciła go na znak posiadania w ciemny, głęboki otwór.

„Pierścień św. Kingi spadł pomiędzy pracujących w głębi górników, a już to jednocześnie z powracającą nad Wisłę księżną, już to w pobliskiej temu chwili, ciągnęły liczne do Polski wozy, naładowane solą z szybu Marmoruskiego. I wędrowali tam z Marmoruszu górnicy solni, mianowicie kopacze z szybu św. Kingi,

zawezwani do żup krakowskich, w celu lepszego onych urzędzenia, zbadania i rozszerzenia“.1)

Ożywił się ruch w odbudowie zrujnowanej Polski, a biegli górnicy węgierscy bezzwłocznie zaczęli czynić poszukiwania za złożami soli. Praca ta przyniosła nieoczekiwane plony.

Wkrótce natrafiono w okolicach Bochni na bogate złoża kamiennej soli, a gdy w obecności księżny Kingi, Bolesława i całego dworu wydobyto z głębin pierwszą bryłę, ukazał się w niej zdumionym oczom złoty pierścień, wrzucony ongiś przez Kingę do sztolni w Marmarosz na Węgrzech.

Zdarzenie to lotem błyskawicy obiegło najdalsze zakątki kraju, radość i wdzięczność ludu otoczyła Kingę najwyższą czcią.

Wskutek odkrycia soli podniósł się rychło dobrobyt kraju, sól wystarczała nie tylko na potrzeby wewnętrzne, ale nawet na wywóz, dając równocześnie pracę setkom rąk.

Kopalnie bocheńskie dotrwały do dni dzisiejszych. Cudotwórcze skarby naszej ziemi zdają się być niespożyte i długie

1) Szajnocha.

wieki jeszcze będą zaspokajały potrzeby kraju, jako dar matki ludu — świętej panny Kingi.

Wdzięczny naród, a szczególnie górnicy, po dziś dzień czczą błog. Kingę jako patronkę i stawiają ją na swych ołtarzach.

Jej opiece polecają zdrowie i życie. Z jej imieniem zstępując do szybów, rozpoczynają swe prace.

IX.

„Czas — najlepszy lekarz“ osuszał łzy i koił rany. Powoli kraj zaczął podnosić się z upadku, lecz księżna Kinga czuła w swej duszy, że nie wszystko spełniono, co uczynić należało.

Wśród codziennego trudu i znoju, z imieniem Chrystusa, wyrytym w jej gorejącym sercu, nie mogła obojętnie patrzeć na ciężkie przewiny, jakie naród polski dźwigał na swych barkach —

— Na ciągłe i stale powtarzające się właśnie braterskie o tron krakowski.

— Na niezmytą dotąd hańbę strasznej zbrodni, popełnionej ongiś na arcypasterzu, biskupie Stanisławie Szczepanowskim.

Za zbrodnię tą był odpowiedzialny cały naród, a szczególnie ród Piastowiczów, na którym dotąd nie zdjęta ciążyła klątwa.

W ciszy samotnych nocy często roz-

myślała nad nieszczęsnym krajem i modliła się:

— Panie nasz, wiekuisty Boże! Chryście ukrzyżowany! Wielką jest Twoja miłość, wielką Twa moc przebaczenia!

— Niegodni jesteśmy Twych łask.

— Z Twoją Boże pomocą lud mój dźwiga się z upadku i niedoli. Przejrzał, złągodniał w obyczajach, zalega świątynie Twoje.

— Czy godzien jednak jest Twych darów i łask?

— Panie strzeż i osłaniaj pana i małżonka mego. Nie on ci bowiem jest winien, że w rodzie jego niegodna ręka shańbiła kościół, zgładziła sługę Twego Stanisława i zbyszczęściła jego zwłoki.

— Panie, miej zmiłowanie nad nami, niegodnymi Twych łask — rzeknij, co czynić, aby przebłagać Twój gniew i uzyskać przebaczenie.

— Wszystkie klęski, które spadły na mój lud, to kara za oną zbrodnię.

— Natchnij Boże skromną służebnicę Twoją, aby mogła się przyczynić do odwrócenia gniewu Twego.

— Nawała tatarska otworzyła nam oczy, iż ujrzelśmy, jak wielkie są winy

nasze, a silną i ciężką prawica Twoja, Panie!

— Panie! Panie! ulżyj nam nieco w dźwiganiu tego krzyża, daj możliwość poprawy i prześlania...

Długo w noc płynęły szepty błagalnej modlitwy i gorące łzy zlewały zimną posadzkę kościoła.

Coraz częściej, coraz liczniejsze rozchodziły się wieści, że u grobu biskupa Stanisława Szczepanowskiego dzieją się różne cuda. Ktokolwiek w imię Chrystusa zwracał się przez tego męczennika do Boga o łaskę, otrzymywał ją.

Nie chcąc już dłużej odwlekać postanowienia swego, zwróciła się księżna Kinga do sędziwego biskupa Prandoty i wraz z nim wszczęła starania około uczczenia szczątków świętego męczennika.

Za jej wpływem Bolko i znaczniejsze rody polskie, tudzież cały naród, zaczęli się starać o kanonizację biskupa Stanisława. Blisko cztery lata trwały starania i badania komisji kanonizacyjnej. Dopiero po przeprowadzeniu całego procesu, pa-

pież Innocenty IV. na Kongresie w Assyżu zaliczył Stanisława w poczet świętych.

A kiedy z radosną nowiną wróciło poselstwo do Krakowa, zaczęto natychmiast czynić przygotowania do tak niezwyklej uroczystości.

Ocknął się naród ze swych gniewów i waśni, braterska miłość złączyła u świętego grobu wszystkie serca.

Dnia ósmego maja 1254 r. w Krakowie, w obecności wszystkich biskupów, przedniejszych rodów i całego krakowskiego ludu wyniesiono uroczyście na ołtarz relikwie biskupa-męczennika.

Był to najpiękniejszy dzień w życiu narodu.

Z wielkim nabożeństwem, uprosiwszy sobie przed tym ten wielki zaszczyt, księżna Kinga wyjęte z grobu święte szczątki męczennika własnymi rękoma w winie obmyła, okrywając je starannie drogocennymi materiałami, zdobnymi w perły i drogocne kamienie.

Tak przygotowane święte szczątki złożyla w srebrnej trumience.

Dzięki staraniom księżny Kingi i kosztom, które szczodłą ręką na proces kano-

nizacyjny łożyła, obmytą została hańba rodu Piastowskiego, a święty Stanisław patronem kraju obrany, pomnożył szereg świętych polskich XIII. wieku.

Dla księżny Kingi był on zawsze naj-
milszym orędownikiem i niedoścignionym
wzorem cnót i prawdziwej, chrześcijań-
skiej pokory.

X.

Wszystko, co tylko mogło przyczynić się do podniesienia kraju i poratowania ludu, nie uszło uwagi świątobliwej księżny.

Szlachetna jej dusza czuła niewysłowioną radość i szczęście, gdy powiodły się jej wszystkie zbożne plany, gdy na zgłiszczach dawnych świątyń nowe powstawały kościoły i klasztory. Wszystkie swoje najkosztowniejsze szaty dawno już poprzerabiała na kościelne ubiory, zdobiąc przybytki Boskie bogatymi sprzętami.

Wspaniałomyślność tą umiał ocenić ówczesny biskup krakowski Prandota. To też chcąc wynagrodzić ofiarowany przez Kingę cały jej posag na potrzeby kraju, poddał myśl księciu Bolesławowi zapisać małżonce jego na własność, ziemi sądeckiej.

Miało to być spłaceniem choć w części długu, jaki Polska zaciągnęła wobec węgierskiej królowny.

Przywilejem z dnia 10 marca 1257 roku, na wielkim sejmie, zebrany w Korczynie, książę Bolesław zatwierdził swej świątobliwej małżonce całą ziemię sądecką w wieczyste posiadanie. Dokument ten zapisany jej tytułem wiana, opiewa:

...,Gdy bowiem czasu złego za dopuszczeniem Bożem, przez grzechy nasze, Tatarzy ogniem i mieczem spustoszyli podległą nam krainę, zalali nagle i niespodziewanie całą ziemię strugą krwi chrześcijańskiej, gdy z zagładą i rozsypką rolnika wszystko zdawało się iść w zagładę... gdy... nie mogliśmy już zgoda żadnych wynaleźć środków, skądby rycerstwu naszemu zwyczajny wypłacić żołd — wtedy... przesławna księżna Pani, małżonka nasza najukochańsza... ofiarowała po kilkakrotnie przyrzeczone pieniądze posagu swego ku wypłacie żołdu pomienionego...

.
zatem, powodując się mądrą radą wielbego ojca księdza Prandoty, biskupa krakowskiego, tudzież, idąc za postanowieniem i jednomyślną wolą, jako też przyzwoleniem wszystkich naszych panów, nadajemy jej, udzielamy i przykazujemy nieodwołalnie w posiadanie wieczyste zie-

mię sądecką, rzetelnie i całkowicie bez najmniejszego uszczuplenia, z wszelką władzą książęcą, jak sami takową dzierżyliśmy, z zupełnem prawem ceł, z wszystkim, co do pomienionej ziemi należy: z lasami, rozciągającymi się aż do granic węgierskich, z rzekami, rybołóstwem, stawami, karczmami, młynami, łąkami, pastwiskami i wszelkiemi innemi przynależnościami... w której to ziemi nie pozostawiamy następcom naszym żadnego innego prawa, jak tylko jedyne na korzyść pomienionej małżonki naszej najukochańszej ustanowione prawo obrony, opieki i podpory, aby... przesławna Pani rzeczona... nie wydawała za życia ani po śmierci ziemi rzeczonej w ręce ludu innego, ani odrywała takowej w gniewie swoim od narodu polskiego, lecz owszem tąż samą zawsze macierzyńską miłość i niezachwianą wierność, jaką wspomnianemu narodowi nie naruszenie i niezmiennie okazywała i nadal mu zachowując, tuliła go nieustannie ku sobie po zwyczaju życzliwości dotychczasowej“.

XI.

Im więcej błóg. Kinga poświęcała trudu i znoju spełnianiu dobrych uczynków, im więcej się umartwiała i oddawała każdą swą myśl Bogu, tym bardziej czuła, że braknie jeszcze jednego ogniwa w tym zbożnym łańcuchu jej istnienia.

W skromności i niedocenianiu swych zasług doczesnych zdawało się jej, że samo tylko jej życie, praca, umartwienie i modlitwa nie mogą jej zapewnić żywota wiecznego, nie mogą przyczynić chwały Bożej. W pomnożenie tej chwały — rozważała Kinga — potrzeba wpleść modlitwę bliźnich, potrzeba chwałę Bożą wlać w serca drugich, którzyby równie jak ona poświęcili życie i jego uciechy dla wyłącznej służby Bogu i Jego chwale.

Żeby móc oglądać kiedyś Boga, trzeba uświęcić całe swoje życie doczesne.

Kinga pragnęła być świętą...

Ale nie tylko myślała o sobie, pragnęła

widzieć kiedyś w chwale Bożej wszystkich swych bliźnich, których miłowała tak, jak Chrystus miłować nakazał.

Szcześnie to urzeczywistnić można było tylko jedną drogą, drogą fundacji klasztorów. Długie lata nie mogła księżna Kinga planów swych zrealizować. Z jednej strony czasy niespokojne, napad Tatarów, zniszczenie kraju — z drugiej potrzeba odbudowy i dźwignięcia zubożałej ludności, odkładały zamiary te na plan drugi.

Dopiero, gdy najważniejsze potrzeby zostały zaspokojone i gdy książę Bolesław zapisał jej ziemię sądecką w zamian za wiano, ofiarowane przez nią na potrzeby wojny i kraju — mogła błogosławiona Pani pomyśleć o tym, aby nareszcie ziszczyć się jej długo piastowane ideały.

Wespół z Bolkiem, cnotliwym swoim małżonkiem, funduje więc najpierw klasztor reguły Franciszkańskiej św. Klary, z siedzibą w Sączu dla stu zakonnic i takież klasztor męski dla trzydziestu „Braci Mniejszych“. Obydwa te klasztory bogato uposaża, nadając im na wieczyste używanie miasto Sącz i cały szereg wsi po obydwu stronach Dunajca i Popradu.

Nie rychło jednak stanęły mury klasz-

toru w Starym Sączu, bowiem w czasie drugiego napadu Tatarów na Polskę w r. 1260-tym, świątobliwe zakonnice szukają schronienia w zameczku Kingi, w Pieninach.

Sprowadzony wcześniej Zakon św. Klary do Sącza, przez cały czas trwania budowy klasztoru musiał mieścić się po domach prywatnych.

Ponowny napad dziczy mongolskiej po raz drugi zamienił kraj w pustynię. Pastwą rozbestwionej dziczy padło wówczas wiele kościołów i klasztorów, między innymi klasztor Panien Franciszkanek w Zawichoście, ufundowany już dawno przez Bolesława Wstydliwego, na prośbę siostry jego Salomei.

Jeszcze za życia małżonka swego Kolomana, świątobliwa córka Leszka przywdziała habit mniszy reguły św. Klary, żyjąc w głębokiej i surowej ascezie.

Pod wodzą Nogaja i Telebuga podstąpili Tatarzy pod Sandomierz. Po trzech dniach oblężenia zdobyli klasztor Dominikanów i zamek, do którego schroniła się cała ludność okoliczna.

„Tyle wtedy — mówi Długosz — pod mieczem barbarzyńców wylało się krwi

chrześcijańskiej, że ze wzgórza, na którym zamek jest zbudowany, do Wisły, co podle zamku płynie, krew ciekła jakby potokiem i woda Wisły krwią się zabarwiła“.

W rzezi tej zginęło 49 Dominikanów z przeorem Sadokiem na czele.

Kinga, wierna córka Kościoła, buduje drugi klasztor i bogato go uposaża.

W kilka lat po napadzie Tatarów umiera Bolesław Wstydlivy, osieracając kraj i małżonkę, przyjąwszy na długo przed śmiercią regułę św. Franciszka. Za trumną Bolesława kroczyła w nieutulonym żalu błog. Kinga, lecz nie w purpurze i majestacie królewskim, ale w habicie Zakonu św. Klary, wraz z młodszą swą siostrą Jolantą.

Wkrótce wyrzekłszy się światowej sławy i proponowanej jej Piastowej królewskiej korony, zamknęła się na zawsze w murach sądeckiego klasztoru.

